Pierwszy łyk piwa

On jeden się liczy. Następnie – coraz dłuższe, coraz mniej skuteczne – niosą w sobie już tylko mdławą ociężałość, przesyt, która wszystko psuje. Może jeszcze ostatni, gdy się okazuje, że całkiem opuściła twa pozorna siła.

Ale ten pierwszy łyk! Łyk? Do przełyku jeszcze długa droga. Najpierw na wargach musujące złoto, chłodna świeżość podsycona pianką, a potem to szczęście z akcentem goryczy, które z wolna rozlewa się po podniebieniu. Jakże długi wydaje się ten pierwszy łyk! Przełykasz go natychmiast z instynktownym, zadało by się, pożądaniem. Ale tak naprawdę wszystko było przewidziane: ilość – nie za dużo ani nie za mało, dokładnie tyle, ile trzeba na początek; natychmiastowa błogość, podkreślona westchnieniem, mlaśnięciem języka albo też równie wymownym milczeniem. I złudne uczucie, ze rozkosz ta będzie trwała w nieskończoność… Ale ty już wiesz – za tobą wszystko, co najlepsze. Odstawiasz szklankę za tekturowy kwadracik, potem troszeczkę ją odsuwasz. Smakujesz kolor – zamrożone słońce, sztuczny miód. Czekasz pokornie i cierpliwie – chciałbyś by ten rytuał pozwolił ci ujarzmić cud, który w tej samej chwili pojawił się i zniknął. Z satysfakcją studiujesz nazwę na ściance butelki. Ale cóż, możecie wzajemnie – nektar i pojemnik – bez końca badać się do głębi. To się już nie powtórzy.. Chciałbyś zachować sekret tamtej przemiany w złoto, umieć ją zamknąć w formułach. Nic z tego jednak – smutny, zawiedziony alchemik przy białym stoliku, całym w plamy słońca, potrafi ocenić jedynie pozory. I coraz więcej pije piwa, i coraz mniej odczuwa szczęścia. To gorzka przyjemność – pijesz po to żeby zapomnieć tamten pierwszy łyk.